

Tata chciał, żebym była dzielna

Ojciec każdego dnia przekazywał mi i bratu wartości, którymi mieliśmy się kierować w życiu. Nazywał mnie „diedziczką świeżego powietrza”. Tłumaczył, że tego, na co patrzę, co jest takie piękne – może kiedyś zabraknąć. I że trzeba się do tego przystosować – wspomina **Zofia Pilecka-Optułowicz**, córka rtm. Witolda Pileckiego, w rozmowie z Karoliną Wichowską



Fot. Piotr Życiński

Zanim włączyłam dyktafon, usłyszałam historię o tym, jak uratowała Pani życie malej kotce ze swojego osiedla i nazwała ją „Rotką” – na cześć Rotmistrza. Czy wrażliwość na los słabszych istot, na przyrodę w ogóle, to jedna z wartości, które przekazał Pani ojciec?

Jak najbardziej. Tata zawsze podkreślał, że wszystko, co żyje, ma ogromny sens istnienia. Tłumaczył mi, że jeśli się przerwie łańcuszek, to on przestanie funkcjonować. Kiedyś spacerowaliśmy razem. W ostatniej chwili tata dostrzegł biedronkę pod moimi nogami, której ja nie spostrzegłam. „Jak ty nie uważasz! Zgniotłabyś biedronkę – powiedział do mnie. – Weź ją i połóż na listek. Tam będzie bezpieczna”. Przekonywał mnie też, że koń to wyjątkowe zwierzę, które ma duszę. Dlaczego? „Otóż koń jest tak mądry – mówił tata – że kiedy raz zdarzyło mi się galopować na mojej kłacz, Bajce, do naszego dworku w Sukurczach, kłacz nagle się zatrzymała. W pierwszej chwili zdawało się, że bez powodu. Okazało się jednak, że na ziemi leżało dziecko, którego z wysokości konia nie dostrzegłem”. To był dla taty dowód na to, jak wyjątkowymi istotami są właśnie konie. Wszystko to świadczy o jego wielkiej wrażliwości. Staram się wcielać w życie te wartości, dlatego mam teraz pod

opieką nie tylko bezdomne koty, ale nawet okoliczne sikorki i gołębie. Przez wiele lat miałam ukochanego psa. Tata odczuwał przyrodę całym sobą. Zastanawiałam się później, jak to możliwe, że z tą swoją ogromną wrażliwością zdołał przeżyć obóz w Auschwitz... Czy on sobie zdawał sprawę z tego, że idzie do takiego piekła? To był człowiek obdarzony niesłychaną liczbą talentów, których nie zakopywał pod kamień, ale rozwijał je na każdym kroku. Napisał poemat o Sukurczach, którego część później odnalazłam. Przepięknie malował: nad łóżkiem małżeńskim namalował biało-niebieski fresk z Matką Boską karmiącą, dla dzieci – krasnoludki tańczące wokół grzybka. Coś pięknego!

Kraży też anegdota, że aby zdobyć serce Pani mamy, galopując konno, wrzucił jej do domu bukiety bzu przez otwarte okno.

Rzeczywiście, tak było. Ojciec miał ułańską fantazję. I nie stracił jej po ślubie. Mama była nauczycielką w miejscowej szkole. Kiedy wracała zmęczona z pracy, zawsze czekała na nią jakaś



atrakcja: ojciec przebierał mnie i mojego brata Jędrka np. za damę i ulana albo za Japończyków, albo za postaci bajkowe.

To zupełnie nie pasuje do stereotypu starswieckiego, przedwojennego oficera – surowego, zasadniczego, skoncentrowanego na karierze. A tu – urodzony pedagog!

To trafne określenie. Każdego dnia przekazywał nam wartości, którymi mieliśmy się kierować w życiu. Z dzisiejszej perspektywy mam wrażenie, jakby się spieszył. Jakby czuł, że ma niewiele czasu. Nazywał mnie „diedziczką świeżego powietrza”. Pytałam go, co to znaczy. Tłumaczył, że tego, na co patrzę, co jest takie piękne – może kiedyś zabraknąć. I że trzeba będzie się do tego przystosować. Mówił, że muszę być „generalką” – dzielną osobą, która radzi sobie w każdej sytuacji. Ogromną wagę przywiązywał do wychowania fizycznego. Kiedy uciekł z obozu w 1943 roku, miałam 10 lat. Przebywał w Warszawie, a my mieszkaliśmy u babci, w Ostrowi Mazowieckiej. Przyjeżdżał do niego i meldowałam o wszystkim, co osiągnęłam w sporcie: już umiem robić szpagat, już biegam na setkę, jestem w drużynie siatkówki, pływam... „O, to świetnie, że pływasz, to bardzo ważne! – pochwalił mnie za to. – Gdybym nie potrafił pływać, nie uciekłbym z obozu, bo musiałem przepłynąć Sołę. Nigdy nie wiesz, kiedy ci się przyda taka umiejętność”. Uczył mnie też zachowań konspiracyjnych. Jeździliśmy po Warszawie tramwajem. W pewnym momencie wysiadaliśmy. Zadawał mi takie ćwiczenie: trzeba ostrzec człowieka idącego za mną, że z przeciwka idzie żandarm. Miałam podejść do ściany lub wystawy, jeśli zobaczyłam żandarma. To miał być znak dla osoby idącej za mną. Czasem też tata przyjeżdżał do nas do Ostrowi. Wtedy przeważnie zamykał się sam w pokoju. Najwyraźniej opracowywał plany konspiracyjne, gdyż od 1944 roku działał w organizacji „NIE”. Raz podglądałam go przez dziurkę od klucza, mając nadzieję, że gdy złapie klamkę, to będę go miała tylko dla siebie. Zauważyłam wtedy, że co jakiś czas wyciągał z kieszeni skórki od chleba i żuł powoli. Widocznie został mu taki nawyk z czasów obozowych...



Fot. ze zbiorów rodzinnych

▶ Na wracającą z pracy żonę Rotmistrza często czekała atrakcja, np. przebrane dzieci



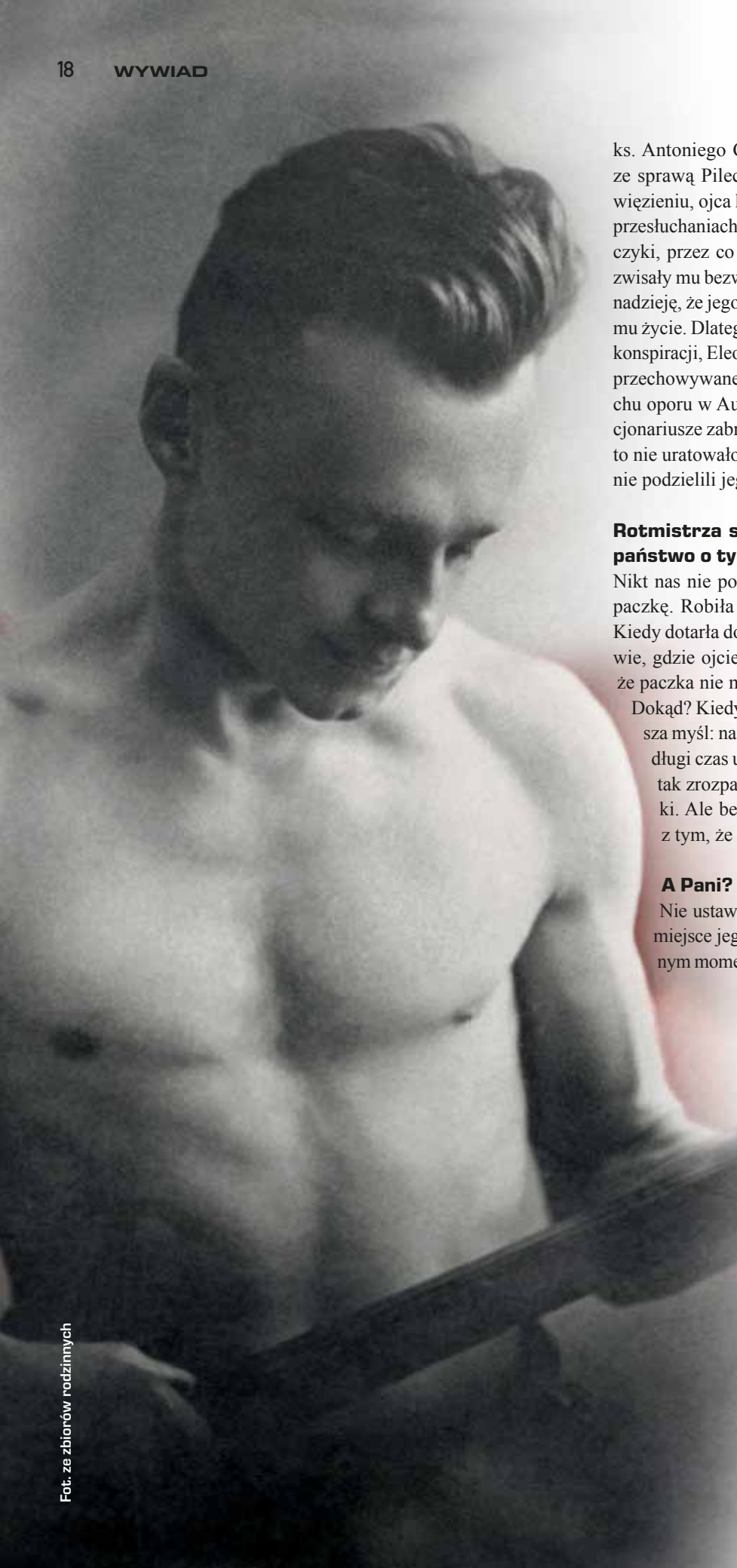
Fot. ze zbiorów rodzinnych

▶ Ulańska fantazja Witolda Pileckiego skradła serce Marii Ostrowskiej

Swoją relację z ojcem mogę porównać do procesu edukacji. Najwcześniejsze dzieciństwo – to przedszkole. Czasy okupacji niemieckiej – pierwsze lata szkoły podstawowej. A to, co było po jego aresztowaniu i straceniu – to już zupełnie inny etap, studia wyższe.

Kiedy ojca aresztowano, Pani miała czternaście lat.

To był 1947 rok. Każdego 8 maja, w imieniny Stanisława, ojciec przyjeżdżał do Ostrowi, żeby złożyć życzenia mojemu wujowi. 8 maja 1947 roku, kiedy przyjechał ostatni pociąg z Warszawy, okazało się, że nie ma w nim taty. Zmartwiłam się, ale myślałam, że może tylko coś niespodziewanego mu wypadło. Jednak w nocy usłyszałam głośne uderzenie, jakby w szybę. Podbiegłam do okna, ale nikogo tam nie było. Mama myślała, że może któryś z kolegów zrobił mi kawał. Takie uderzenia powtarzały się później prawie codziennie przez parę miesięcy. Wierzę, że w jakiś niezbadany sposób ojciec chciał mi przekazać, że dzieje się z nim coś złego – najpierw, że został aresztowany, a potem, że jest torturowany. Był katowany tak strasznie, że w pewnym momencie podczas widzenia powiedział mamie, że już nie może dłużej żyć. Że Oświęcim to była igraszka w porównaniu z tym, co robili komunistyczni śledczy. Według relacji ▶



ks. Antoniego Czajkowskiego, aresztowanego w związku ze sprawą Pileckiego i przetrzymywanego w tym samym więzieniu, ojca katowano szczególnie okrutnie. Po ostatnich przesłuchaniach – jak twierdził ksiądz – miał połamane obojczyki, przez co nie mógł utrzymać głowy w pionie, a ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Mimo wszystko miał nadzieję, że jego działalność konspiracyjna z Auschwitz ocali mu życie. Dlatego poprosił szwagierkę, również uczestniczkę konspiracji, Eleonorę Ostrowską, żeby przedstawiła śledczym przechowywane przez nią relacje dotyczące organizacji ruchu oporu w Auschwitz. Eleonora spełniła tę prośbę. Funkcjonariusze zabrali wszystkie materiały. Niestety, życia tacie to nie uratowało, ale być może dzięki jego postawie myśmy nie podzielili jego losu.

Rotmistrza stracono w maju 1948 roku. Jak się państwo o tym dowiedzieli?

Nikt nas nie poinformował. Mama pojechała zawieźć ojcu paczkę. Robiła to co miesiąc, bo częściej nie pozwalano. Kiedy dotarła do więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie ojciec był przetrzymywany, usłyszała od straży, że paczka nie może zostać przyjęta, bo „Pilecki wyjechał”.

Dokąd? Kiedy? Oczywiście ani słowa na ten temat. Pierwsza myśl: na pewno został wywieziony na Syberię. Mama długi czas usiłowała dowiedzieć się czegokolwiek. Była tak zrozpaczona, że w końcu udała się nawet do wróżki. Ale bezskutecznie. W końcu jednak pogodziła się z tym, że męża nie odnajdzie.

A Pani?

Nie ustawałam w poszukiwaniach. Chciałam odnaleźć miejsce jego pochówku za wszelką cenę. Mama w pewnym momencie zaczęła mi mówić, że jestem nawiedzona,

Witold Pilecki (1901–1948), pseudonimy: „Witold”, „Druh”; nazwiska konspiracyjne: Roman Jezierski, Tomasz Serafiński, Leon Bryjak, Jan Uznański, Witold Smoliński – rotmistrz kawalerii Wojska Polskiego, współzałożyciel Tajnej Armii Polskiej, żołnierz Armii Krajowej, więzień i organizator ruchu oporu w KL Auschwitz. Autor raportów o Holokauście, tzw. Raportów Pileckiego. Oskarżony i skazany przez władze komunistyczne Polski Ludowej na karę śmierci, stracony w 1948 roku. Oskarżenie anulowano w 1990 roku. Pośmiertnie, w 2006 roku, Witold Pilecki otrzymał Order Orła Białego, a w 2013 roku został awansowany do stopnia pułkownika.

żebym już przestała szukać. A ja traktowałam swoje poszukiwania jako dar dla ojca. Uważałam, że im więcej trudności, to nawet tym lepiej, bo dar będzie cenniejszy. Uważałam, że mój wysiłek musi być jak największy, jeśli robię to dla kogoś tak mi bliskiego. Kogoś, kto sam przeszedł w życiu niewypowiedziany ogrom cierpień.

Jaką cenę przyszło Pani zapłacić za upór?

Nie chcę opowiadać o trudnościach, które przechodziłam podczas poszukiwań, bo to tak, jakby komuś dać prezent, a następnie wypominać, jaki był drogi.

Musiała Pani zrezygnować ze studiów.

Rzeczywiście. Po maturze dostałam się na Politechnikę Warszawską, na budownictwo wodne. Wszyscy asystenci byli „czerwoni”. Jeśli ktoś miał niesłuszne z ich punktu widzenia poglądy, nie zaliczali mu ćwiczeń i tym samym nie można było dostać się na egzamin do profesora. Pewnego razu jeden z profesorów poprosił mnie do siebie i powiedział: „Moje dziecko, zrezygnuj ze studiów. Bo tylko zszarpiesz sobie nerwy. Może jeszcze będą kiedyś inne czasy...”. I tak zrobiłam. Byłam już wtedy narzeczoną, wkrótce zostałam też żoną i matką.

A wcześniej, w szkole w Ostrowi Mazowieckiej, nie spotykała się Pani z ostracyzmem?

Wręcz przeciwnie. Tam nawet w najstraszniejszych chwilach, po aresztowaniu ojca, mogłam liczyć na wsparcie rówieśników i nauczycieli. Do dziś pamiętam, jak z głośnika na szkolnym korytarzu podczas dużej przerwy słychać było audycję propagandową Wandy Odolskiej. Spikerka mówiła o procesie Witolda Pileckiego, nazywając go zdrajcą ojczyzny i szpiegiem. Nauczycielka zapytała, czy to mój ojciec. Potwierdziłam i dodałam, że jestem z niego dumna. Profesorka nie skomentowała tego, co w tamtych warunkach wymagało sporej odwagi.

Dopóki mieszkaliśmy w Ostrowi, mama prowadziła miejscową księgarnię. Dzięki temu mieliśmy za co żyć. Kiedy jej siostra wróciła z obozu w Ravensbrück, przejęła prowadzenie księgarni, a my przenieśliśmy się do Warszawy. Mama miała nadzieję, że w wielkim mieście znajdzie pracę w zawodzie nauczycielki. Niestety, ta nadzieja okazała się płonna. Z konieczności miała się różnych zajęć, łącznie z pracą herbaciarki i sprzątaczką. Mieszkaliśmy pod Warszawą w pokoju z kuchnią, w domku letniskowym. Jeśli w zimie brakowało pieniędzy na węgiel, trzeba było zbierać szyszki, żeby ogrzać izbę. Później ja sama długo nie mogłam znaleźć pracy, ostatecznie jednak zatrudniono mnie w przedsiębiorstwie INCO, związanym ze Stowarzyszeniem PAX. Formalnie miałam etat pracownika fizycznego, a wykonywałam pracę biurową. Pensja była niezbyt wysoka, ale pozwalała przeżyć.

Dzięki kontaktom w PAX udało się Pani pod koniec lat osiemdziesiątych spotkać z Józefem Cyrankiewiczem,

byłm już wówczas premierem PRL, w czasie okupacji więźniem Auschwitz. Miała Pani nadzieję, że Cyrankiewicz pomoże Pani w ustaleniu, co się stało ze zwłokami ojca?

Ogromnie na to liczyłam. Podczas spotkania Cyrankiewicz był dla mnie bardzo uprzejmy. Przywitał mnie grzecznie, wręcz entuzjastycznie, jakby ucieszył się na mój widok. Posługiwałam się nazwiskiem męża: Optułowicz, nie mam więc pewności, czy wiedział, kim jestem. Powiedziałam od razu, że moja wizyta będzie bardzo krótka, gdyż chciałam jedynie prosić o pomoc w ustaleniu, gdzie spoczywają szczątki mojego ojca, Witolda Pileckiego. On na to: „Witold Pilecki? A kto to jest ten Witold Pilecki?”. Zawrzało we mnie! Odpowiedziałam, że skoro tak, to nie mam więcej pytań. Musiałam mieć bardzo srogą minę, bo Cyrankiewicz starał się jakoś załagodzić sytuację. Powiedział, że popyta, „gdzie trzeba”, i spotka się ze mną jeszcze raz. Nie doczekałam się jednak żadnej wiadomości. Wkrótce Cyrankiewicz zmarł.

Kiedy w 2011 roku IPN, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości rozpoczęły program poszukiwań nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, pojawiła się realna szansa, że uda się odnaleźć szczątki Pani ojca. Była Pani jedną z pierwszych osób, które oddały materiał genetyczny do badań porównawczych. Domyślałam się, że nie wahala się Pani ani chwili, czy to zrobić.

Nie miałam wątpliwości, czy oddać materiał. Chociaż muszę przyznać, że czasami jestem bliska pogodzenia się z tym, że ojca nie uda się odnaleźć. Słyszałam relacje, według których specjalnie go zaprowadzono na egzekucję do kotłowni. Innych osób tam nie zabierano. A więc możliwe, że został wrzucony do pieca. Z drugiej jednak strony wierzę w to, że może być pochowany na Powązkach, bo tam zaprowadziła mnie moja córka, urodzona w 1958 roku Ania Krysią. Była całkiem zdrowa, ale niespodziewanie zmarła drugiego dnia po urodzeniu. Lekarka uchyliła drzwi do sali i oschle rzuciła: „Dziecko pani zmarło”. Takie to były czasy. Pochowaliśmy ją w powstającej wówczas kwaterze dziecięcej, na cmentarzu komunalnym (Powązkach Wojskowych). Jak się później okazało, było to w bezpośrednim sąsiedztwie „Łączki”. Jestem przekonana, że to tata mnie tam zaprowadził. Dlatego, mimo wszystko, nie tracę nadziei. Niezależnie zresztą od tego, że na „Łączce” poszukiwano mojego ojca, jeździłam tam podczas prac tak często, jak tylko mogłam. Czasami pakowałam do plecaka pączki i napoje, żeby ludzie poszukujący szczątków nie pili byle jakiej wody. Jestem zafascynowana pietyzmem, z jakim ten zespół pracuje. Podziwiam ich szacunek dla najdrobniejszej kosteczki: każdą z nich przesiewają i zanoszą medykowi sądowemu. Trzeba to zobaczyć, żeby przekonać się, z jakim uszanowaniem człowiek żyjący odnosi się do kości tego, który już nie żyje. 🍀